

## Zima 1940 roku

Wyjątkowo mroźna była zima 1939/1940 roku. Wszystkie rzeki oraz rozlewiska, które pozostały po starych ich korytach, zostały skute lodem. Nawet Bug przypuszczalnie w każdym miejscu mógł stanowić most lodowy do przepraw z jednej strony brzegu na drugi. Śniegu też nie brakowało. Stanowiące równą płaszczyznę rozłożyste pola i łąki zostały przykryte grubą warstwą białego puchu. Szczególnie w słońcu srebrnymi igiełkami skrzyły się jego nałożone na siebie warstwy i tylko gdzieś tam naruszona została ta płaszczyzna zagłębieniami w postaci śladów przebiegającego zajaca, kuny lub innego zwierzęcia. A przyznać trzeba, że w tym czasie jeszcze w tych rejonach fauna była bardzo bogata. Zwierzęta zaczęły nawiedzać sady i przydomowe zarośla, szukając pożywienia.

Tuż za naszą stodołą żerowały trzy stadka kuropatw. Stwierdziłem, że w miejscach parpowisk, w śniegu, czego nigdy wcześniej ani potem nie widziałem, kuropatwy w cudowny jakiś sposób wydrążyły sporą ilość tuneli i korytarzy, którymi przedostały się do oziminy i w których kryły się przed drapieżcami skrzydlatymi w postaci jastrzębi.

Ktoś mi doradził by zrobić sidła i rozłożył w miejscu, gdzie kuropatwy żerują. Postarałem się o włosie z końskiego ogona, uplotłem kilkanaście oczek, umocowałem je do drutu, który promieniście łączył ściany starej nieużytecznej obręczy z beczki. Pośpiesznie zaniósłem całe urządzenie w miejsce parpowiska i zagłębiłem w śniegu wszystkie części metalowe, pozostawiając na wierzchu jedynie same oczka, które poustawiałem w ten sposób, że sterczały otwarte do góry nad śniegiem. Pomiędzy oczkami rozsypałem pewną ilość pośladu i skryłem się za zabudowaniami. Po pewnym czasie zauważyłem, jak stadko kuropatw rozsiało się w miejscu pułapki. Teraz już nie trzeba było wiele czekać, by móc zauważyć, jak pomniejszone o trzy sztuki stadko kuropatw się zerwało i pofrunęło w pole. Spłoszone zostało trzepotaniem się ich trzech sióstr, które uwięzione zostały w sidłach. Błyskawicznie podbiegłem do nich, odczepiłem z sideł i wsunąłem do wcześniej przygotowanego worka.

Uradowany, zaraz w domu dokonałem czynu morderczego. Podusiłem kuropatwy, oskubałem, wypatroszyłem i przekazałem mamie do gotowania, spodziewając się pochwały. Tymczasem mama i ojciec mocno mnie skrzyczeli. Mieli rację. Kuropatwy w tym czasie nie były wcale smaczne. Ich ilościowo skromne mięsko czuć było ozimną, którą przesiąkło, bowiem stanowiła ona jedyne dla nich pożywienie. Na polecenie rodziców musiałem natychmiast zniszczyć urządzenie do chwytania kuropatw i przyrzec, że niecny proceder nie zostanie przeze mnie powtórzony. Postanowienie zostało dotrzymane, a nawet w okresie zimy zawsze staram się pomagać kuropatwom i je dokarmiałem, a jedno z takich dokarmień zakończone zostało tragicznym nieszczęściem, bowiem w drodze powrotnej z całkiem niegroźnej sytuacji wpadłem, jadąc motocyklem, w poślizg, w wyniku którego doznałem złamania nogi, o czym postaram się napisać przy okazji.

Łowieniem kuropatw, analogicznym sposobem jak opisałem zajmował się jeden z mieszkańców naszej ulicy Wołoskiej, Rusin, który mieszkał koło mojej ciotki Czemerzyńskiej, a nazwisko którego zapomniałem. On swoje sidła rozmieszczał wzdłuż brzegu Buku, między krzakami i trzcinami. Przebywał tam cały dzień ukryty w krzakach. Jeżeli zauważył, że stado naprzód usiadło, a potem się zerwało i poszybowało w inne miejsce, szybko zbliżał się tam, by odczepiać sztuki schwyte, uśmiercać je, chować do worka i na nowo nadawać sidłom pożądanej sprawności duszenia niewinnych ptaszyn.

Stefan Małko, bliski znajomy mojej rodziny, któregoś dnia polecił mi, bym udał się nad Bug i wszystkie te sidła zlikwidował. Do polecenia tego ustosunkowałem się entuzjastycznie, pragnąc zrehabilitować się za wcześniejszy niecny postępek wobec tych przemiłych ptaków, a nadto darzyłem je teraz ogromną sympatią i każda ukazywana im pomoc sprawiała mi satysfakcję i zadowolenie. A żeby mnie nie poznał ów kłusownik, Rusin, dostałem przez pana Małko ubrany w płaszcz wojskowy, a na głowę naciągnięto mi kominiarkę.

Płaszcz włókł się po śniegu. Ale mimo to biegłem w kierunku Bugu. trzymając w ręce pilnik, którym miałem podważać sidła i wyrwać je ze śniegu. Dopadłem pierwszą obręcz naszpikowaną sidłami. Wyrwałem ją ze śniegu i rzuciłem na lód, na środek Bugu. Kiedy jednak ledwie podniosłem głowę i wyprostowałem kręgosłup, zauważyłem, jak w moim kierunku biegnie kłusownik. Na tej podstawie mogłem więc stwierdzić, że on tam przebywał cały okrągły dzień, bowiem przed moją wyprawą z zadaniem likwidacji sideł, obserwowaliśmy z Małko teren przez parę godzin i nikogo nie zauważyliśmy.

Głęboki śnieg utrudniał ucieczkę, ale on miał te same trudności, a może nawet większe, gdyż był bardzo grubo ubrany. Podwinąłem płaszcz, chwytając go w ręce i biegłem ile tylko zostało mi sił w nogach. Po pewnym czasie oglądając się za siebie, mogłem dostrzec, że mój prześladowca zaniechał pogoni. Z westchnieniem ulgi zatrzymałem się i długim na miarę moich możliwości krokiem przewracałem hałdy śniegu, by drażyć w nim znaczący rów ucieczki. Ściągnąłem kominiarkę i taki nadal trochę przebrany dotarłem do znajomego naszej rodziny, Mikołaja Kolbucha mieszkańca Ostapkowiec, przyległej do ulicy Wołoskiej małej wioski. Gospodarzowi opowiedziałem o całej przygodzie. Płaszcz i kominiarkę zostawiłem i przywdziałem coś nowego. O ile pamiętam był to jakiś żakiet damski. W ten sposób ubrany spokojnie wracałem do domu, przechodząc obok zabudowań mojego teraz prześladowcy.

Pan Małko, jak później opowiadał, wszystko to obserwował, wyrażając żal, że udało mi się jedynie jedno urządzenie zlikwidować. Pochwalił mnie za to, iż nie kryłem się w pobliskich zabudowaniach, lecz aż we wiosce Ostapkowce, co nie wzbudzało podejrzeń ze strony Rusina. który w tym czasie mógł w drodze zemsty wiele złego uczynić mojej rodzinie. Był to okres, w którym w roli mścicieli i prześladowców występowali Rusini i Rosjanie, a nade wszystko Żydzi, natomiast Polacy zmuszeni zostali do przyjmowania ciosów, upokorzenia i doznawania wszelkich możliwych i wymyślnych tortur zakończonych niejednokrotnie wywózka na Sybir lub śmiercią i pochówkiem w nieznanym nikomu miejscu.

Po głębokich przygotowaniach ze strony okupantów i miejscowej ludności żydowskiej a także i ukraińskiej (Rusini przekształcili się już w tym czasie na Ukraińców!), zaczęły się wywózki na Sybir. Wystraszeni mieszkańcy Buska pochodzenia polskiego cichaczem przekazywali sobie zasłyszane wieści. Ulice wymarły. Polacy zaczęli kryć się po domach. Ukraińcy też mniej się pokazywali na ulicach, ale tylko dlatego, by publicznie nie ujawniać swojej radości. Woleli ją dzielić w zaciszach domowych. Do zabudowań polskich po wywiezionych z nich Polaków wpadali jak sępy, aby zrabować wszystko, co Polacy pozostawili. a pozostawiali wiele. Cały swój życiowy dorobek. Pozostawiali domy, bydło, trzodę chlewną, drób, narzędzia rolnicze i wiele, wiele drobiazgów, które podczas swojego życia w wyniku swojej ciężkiej pracy nagromadzili. Odjechali z maleńkimi tobołkami w garści, nie myśląc o pozostawionym majątku, tylko o życiu, które pragnęli ocalić.

Wychuchałem dziurę w zamrożonej szybie okna i patrzyłem na ulicę. Ciągnęły sanie jedne za drugimi. Na przedzie zwykle siedział woźnica okręcony w jakieś kozuchy i łachmany, za nim kobiety przyciskające do swych ciał maleńkie dzieciątka i obok jakieś skromne tobołki, małe zawiniątka. W tych to zawiniątkach, w tych tobołeczkach małych mieścił się ich cały dorobek życia. Obok sań szedł trzymając się za kłonicę sowiecki żołdak. Na twarzy miał kominiarkę, która chroniła go przed mrozem, na głowie czapkę z czubem i gwiazdą, na nogach walonki, na ciele szary wojskowy szynel, na ramieniu karabin, do lufy którego przytwierdzony był kwadratowy szpiczasty bagnet. Pamiętam, że konie były siwe od szronu, który je przykrywał. Mróz był okropnie silny, sięgał do minus 30 stopni Celsjusza, a może jeszcze niżej.

Sanie przejeżdżały spokojnie jedne za drugimi ... . Nikt nie odważył się żegnać odjeżdżających, nikt nie wyszedł na ulicę, nikt nie przyznawał się do tych ludzi, jakby byli zupełnie obcymi ... . Niektórych z nich wybawiała śmierć. Ciała ich znaczyły drogę w pobliskich rowach i poboczach toru kolejowego. Droga była skierowana na wschód, wiodła tysiącami kilometrów.

Ci wywożeni na Sybir ludzie, którzy przejeżdżali ulicą Wołoską, to byli mieszkańcy Lanerówki, koloniści. Byli wśród nich również tubylcy, mieszkańcy tego rejonu od wieków. Ktoś wskazał na nich, że są wrogami komunizmu.

Późnym wieczorem psy nasze mocno zaczęły ujadać w kierunku sadu, a więc pól. Po pewnym czasie ojciec powiadomił nas, że przybył do nas, aby się skryć, Tadek Rydze z Lanerówki. Ojciec go ukrył w stajni na strychu. Opowiadał nam potem ten Tadek, jak udało mu się uciec. Domy mieszkańców wywożonej kolonii były od siebie oddalone o sto, albo nawet więcej metrów. O świcie obudzony ze snu zauważył, jak w kierunku jego domu zbliżają się uzbrojeni mężczyźni w uniformach wojskowych. Byli to enkawudziści i Ukraińcy z policji ukraińskiej. Wymknął się wówczas Tadek z domu i udał przez pola na Wolany. Strzelali za nim, ale Tadek okazał się być sprytniejszym i skokami po pas w śniegu wymijał udanie kule. Tak dotarł do tak zwanej granicy. Była to głęboka fosa dzieląca pola należące do Buska i do Lanerówki. Fosa ta w tym czasie oczywiście zrównana była śniegiem i łącznie z polem tworzyła jedną płaszczyznę. Tadek zanurzył się w śnieg, wydrążył w nim tunel i zasypując za sobą wejście skrył się w śniegu do czasu nadejścia zmierzchu. Jak dodał, było mu tam całkiem przyzwoicie i nawet mógł się przespać.

Wieczorem dopiero, by nas nie narażać, Tadek przez ogromne zwały śniegu, pokonując niebywały trud i zmęczenie, dotarł do naszego sadu, skąd zabrał go ojciec. Tadek przed wojną jakiś krótki czas był zakonnikiem. O ile mi wiadomo, Tadek obecnie /rok 1992/ przebywa w Niepokalanowie. Jest tam również zakonnikiem i kilka razy spotykał się z moim kuzynem, Józkiem Zdaniewiczem, wspominając stare dzieje z czasów okupacji sowieckiej w Busku.

W tym czasie, a więc w roku 1940, niezauważalnie przemykał do mieszkania na posiłki i wiele czasu poświęcał na uczenie nas gry w szachy. W tej dziedzinie sportu stawiałem pierwsze kroki.

O ile pamiętam, jego rodzice wcześniej się ukryli i prawdopodobnie w tym dniu wywózek znajdował się w domu sam. Jego siostry, przepiękne czarnule, przechowywały się we Lwowie. Z jedną z nich spotkałem się po wojnie w Krakowie. Pracowała w Spółdzielni im. Jarosława Dąbrowskiego, słynnej z szycia wysokiej jakości koszul męskich.

Nie wiem, jak sobie poradził inny mój znajomy z Lanerówki, Zdzisław Surman. Przeżył on w jakiś sposób okupację sowiecką i nawet potem z powrotem znalazł się na swoim gospodarstwie w Lanerówce. W czasie okupacji niemieckiej był moim kolegą szkolnym. Chodziliśmy razem do Szkoły Handlowej w Busku. Był znakomitym uczniem i kolegą. Gdzie przebywa obecnie - nie wiem.

Wywozy na Sybir, jak wspominałem, nie ograniczały się jedynie do kolonistów. Z naszej ulicy wywieziono rodzinę Peszków, w składzie której występowała Peszkowie oraz ich dwie córki i maleńki synal. Przed wojną pan Peszek pełnił funkcję strażnika burmistrza, nosił mundur służbowy oraz szablę. Wywieziono wszystkich, za wyjątkiem starej babci, którą pozostawiono bez opieki, zdaną na los bez nadziei na przeżycie.

O pozostawionej babci dowiedzieli się w jakiś cudowny sposób Biskupowie. Ci mieszkańcy Lwowa w osobach: pani Biskupowa (chyba córka babci), Marysia Biskup (wnuczka babci) i Franek Biskup (wnuczek babci) - natychmiast porzucili rodzinny Lwów i zamieszkali w Busku na ul. Wołoskiej, razem z babcią.

Z rodziną Biskupów poznaliśmy się szybko i zaprzyjaźniliśmy. Franek był gościem naszego domu niemal codziennie. Wyjechali Biskupowie z Buska razem z moją rodziną i osiedlili się w Malewie koło Rzeszowa, również obok mojej rodziny. Kiedy moja rodzina wyjechała na Zachód, ja zostałem razem z Biskupami. Mieszkałem u nich w Matysówce, gdzie Marysia była kierowniczką szkoły. Z Frankiem jeździłem codziennie na rowerze do pracy w Rzeszowie. On był aplikantem w sądzie, a ja urzędniczyną w "Społem" Oddziale Włókienniczym. Mieszkaliśmy też przez pewien okres razem w Rzeszowie. Dopiero jego ożenek nas rozdzielił. Był bardzo cenionym adwokatem w Rzeszowie. Umarł parę lat temu. Utrzymuję kontakt z jego córkami, mieszkankami Rzeszowa. Straciłem serdecznego kolegę, chociaż wiekiem dużo starszego ode mnie, córka moja, Lidia, straciła ojca chrzestnego. W swoich wspomnieniach na pewno jeszcze nie raz wrócę do Franka i jego zacnej rodziny, od której doznałem wiele pomocy. Na razie o wywózkach dalej.

Oprócz Peszków z naszej ulicy wywieziono rodzinę Germanów. Było ich dwóch braci wspólnie mieszkających. W bezpośrednim sąsiedztwie Germanów mieszkał mój kolega, Adam Geisheimer, ojciec którego był znanym tkaczem. Cała jego rodzina była bardzo wesoła. Wszyscy lubili opowiadać, a czynił to z pełnym powodzeniem, różne dowcipy rozsiewające nieraz do łez. Adam mieszka obecnie we Wrocławiu.

Jeden z braci Germanów był żonaty i miał rodzinę, zaś drugi był stanu wolnego. Ten drugi właśnie, by nie być wywiezionym na Sybir, ukrywał się sypiając w stajni. Kiedy okrążyli dom Germanów enkawudziści, wspomniany przebywał poza jego ścianami. Enkawudziści zainteresowali się jedynie mieszkańcami domu, polecając jego mieszkańcom ubierać się i wsiadać na samochód. Wówczas ten z ukrycia German wystąpił do nich z prośbą, aby włączyli go do rodziny i nie pozostawiali samego. Pragnął dzielić wspólny los z bratem. Nie pomogły wyjaśnienia perswazja i prośby, pozostawiono zrozpaczonego takim obrotem sprawy w domu, a pozostałych członków rodziny wywieziono.

W naszym domu ojciec zarządził przyspieszone przygotowania do ewentualnego wyjazdu na Sybir. Byliśmy niemal pewni, że nas nie ominie decyzja o wywózce. Wiele rzeczy zostało zapakowanych i ułożonych w kacie. Ojciec ustalał, co winniśmy zabrać ze sobą. W czasie I-szej wojny światowej dostał się do niewoli rosyjskiej i na Sybirze gnębiła go nostalgia przez okres pięciu lat.

Pocieszał nas, że nie jest tam najgorzej, ale miał w pamięci niewolę w Rosji Carskiej, a więc wyżywienie, w skład którego wchodziły takie specyjały, jak biały chleb, cukier i w dowolnych ilościach czaj. Wracał myślami do wolnych niedziel oraz długich beczynnych dni zimowych wypełnianych grą w karty albo owce. Przekazując nam te wspomnienia, jakby nie dowierzał, że carska niewola miała się tak do niewoli sowieckiej, jak niebo do piekła.

Co dzień wieczorem nasłuchiwaliliśmy warkotu samochodów, które zatrzymywały się przy niektórych domach, a raz nawet przy naszym, sprawdzając numery i konfrontując je z wykazanymi na listach, których autorami byli Żydzi, a które teraz zaciskali w dłoniach siedzący w kabinach samochodów enkawudziści.

Nasilenie wywozek jednak zmalało. W ich miejsce wkroczyły aresztowania i morderstwa, a w najlepszym razie skierowania do prac w kopalniach Donbasu lub na nizinach Kołymy. Rodziny aresztowanych nie otrzymywały żadnych wiadomości o losie ich najbliższych, ani też o ich miejscu pobytu.

Ofiarami padali często ludzie absolutnie niewinni, ale posiadający na przykład jakieś ładne mieszkania, czy meble, albo jeszcze coś innego. Właściciele takich dóbr aresztowano i likwidowano. Sprawcy czynów wchodziłi automatycznie w posiadanie wolnych w sekwencji powyższego mieszkania oraz dobytku, który pozostał po zamordowanych.

Pewnego dnia powiadomił nas urzędowy władca nad Wolanami, Leon Dawidowski, Rusin, że każdej soboty w naszym domu odbywać się będą tak zwane mityngi z udziałem wyznaczonych mieszkańców, sąsiadów. Od tej pory każdej soboty o określonym czasie podjeżdżał pod nasz dom ZIS-5. Wysiadywał zeń kierowca, włąził do mieszkania, wypowiadał sakramentalne "Czy można" i rozsiadał się za stołem. Potem obserwując zezem słuchaczy głosił "kazanie".

Opowiadał o kołchozach, o życiu kołchoźników, ich dobrobycie, ich codziennej wesołości i radości, opiece zdrowotnej nad nimi i rodzinami ich, o zabawach, które kołchoźnicy systematycznie organizują, konkludując na zakończenie swych wywodów, że i my niebawem posiadziemy ten raj jeśli tylko znajdziemy się w podobnych kołchozach.

Kierowca ów nigdy nie wspominał o sytuacji w kołchozie w Wierzblanach, który tam na początek i dla reklamy zorganizowano, a w którym z głodu konie pozdychały, a ludziom nie brakowało wiele, by poszli za ich śladem.

Na zakończenie swoich opowiadań o "raju sowieckim", wyciągał z kieszeni zaoliwionej kufajki plik biletów do kina i rozdawał je obecnym. Podkreślał przy tym, że każdy musi wykorzystać otrzymany bilet i w odpowiednim terminie uczestniczyć w granym seansie. Rzeczywiście wyłaniały się kłopoty i prześladowały tych, którzy z jakichś powodów nie znaleźli się w kinie.

Moi rodzice nie mieli czasu, toteż najczęściej wysyłali mnie do kina, aby kontrolujący i sprawdzający mógł odfajkować obecność z mojej rodziny, co miało świadczyć, że jest ona zamiłowana w filmach bolszewickich.

Najczęściej wyświetlano filmy o tematyce wojennej. Przedstawiano wojnę polsko - sowiecką, której istnienie w późniejszych czasach całkowicie negowano. Te ekranach prezentowana ogromne czołgi przewalające się przez głębokie rowy, łamiące drzewa i burzące domy. Pokazywano oficerów

polских, którzy rzucali broń i w popłochu uciekali przed armią sowiecką, lub którzy chętnie poddawali się. Między innymi widziałem, jak jeden samolot sowiecki poradził sobie z dziesięcioma samolotami polskimi, strącając po kolei pełną dziesiątkę na ziemię, a potem, by ochronić zagrożonych w okopach kolegów przed nadlatującym z bombami jedenastym polskim samolotem, a nie mając już amunicji, bo ją był wcześniej wystrzelał, staranował tenże, sam ginąc ze swoim sprzętem.

Inny Wańka podczołgał się do polskiej artylerii, a po zastrzeleniu wszystkich z jej obsługi Polaków, odwrócił działo w kierunku pozycji polskich i ... strzelał! A kiedy generał polski przywołał go do telefonu, myśląc, że rozmawia z Polakami, beształ, wołając, że strzela w niewłaściwym kierunku. Ten generałowi odpowiedział: "*Strelaju tuda, kuda mnie nužno*".

Byłem młody i rwałem się do kina, ale już wówczas potrafiłam ocenić sowieckie filmy: Były one okropnie nudne i treścią ani smakiem nie odpowiadały Polakom, których cechował zdecydowanie wyższy poziom intelektualny.

Nacechowane propagandą i zmyślonymi historyjkami, wywoływały, że ze scen kinowych wiało nudą. Bo jakże mogło być inaczej skoro połowę filmu zajęta była przez dwóch czerwonarmistów rozmawiających ze sobą lub będących w sporze o rzecz absolutnie nie związaną z fabułą filmu.

Najwięcej takich bredni filmowych można było oglądać w czasie kiedy trwały walki sowiecko-fińskie. Dowożący na front amunicję Wania, został zaatakowany przez oddział Finów (tak - oddział Finów !) i potrafił sam połowę wystrzelać, a potem, nie mając amunicji, cielskiem traktora pomiażdżył resztę. Inny bohater z tego frontu przez cały dzień po szyć we wodzie przenosił amunicję dla oblężonych kolegów i jakoś nie zamarł, chociaż w tym czasie na froncie z Finami panowały mrozy i absolutnie wątpić należy, czy jezioro mogło być niezamarznięte.

Wydaje się, patrząc na to z perspektywy czasu, że ta głupia ich propaganda odnosiła zupełnie odwrotny skutek. I stąd noże nawet niekiedy jeśli napisali, czy przedstawili w filmie jakieś zdarzenie prawdziwe, nikt nie dawał temu wiary.

Oprócz kina chodziliśmy do kościoła. Nieprzychylnie patrzyli na to szczególnie Żydzi, ale lud pobożny nie lękał się ani grózb, ani szykan z ich i bolszewików strony, które stosowano szczególnie w szkołach. Myślę, że w dużym stopniu zaangażowani sprawami wojny z Finlandią i przygotowywanej z Niemcami dawali jakby upust sprawom do tamtych podrzędniejszym i terror jakby lekko zmalął. Już od zimy roku 1941 (drugiej jej połowy) zaczęto mobilizować ludzi do budowy linii obronnej w okolicach Sokala i Rawy Ruskiej.

Kzeszów, luty 1992 r

Ludomił Szubartowicz  
b. mieszkaniec Buska  
przy ul. wołoskiej 97

